

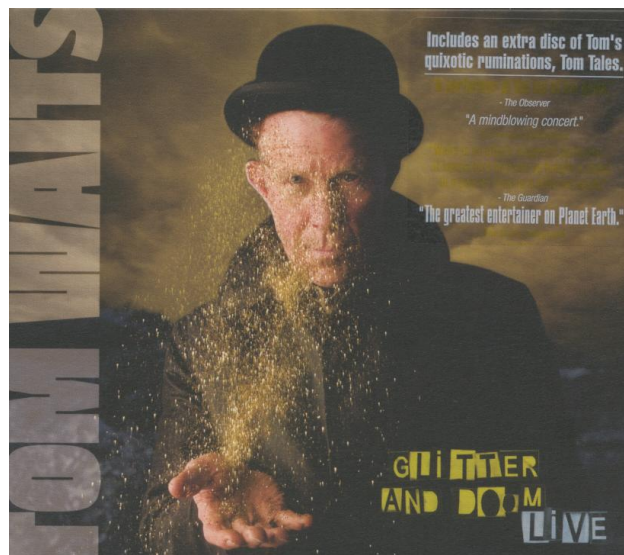
Tom Waits – artysta totalny



Jest klasycznym artystą kultowym, konsekwentnie dekadencjonalnym i kreującym się przez lata na zapijaczonego, pozbawionego złudzeń rozbitka życiowego. Aha, do tego dochodzi jeszcze pianino w jakiejś zadymionej speluncie i legendarna już wymówka Waitsa: *...to fortepian jest pijany, a nie ja*. Jest współczesnym wcieleniem poety bitnika, zainspirowanego Kerouacowskim mitem wędrownego artysty cygana oraz urzeczonego „czarnym filmem” lat 50. Na niemal wszystkich swoich płytach pokazuje w ostrym świetle grono dziwacznych, podejrzanych typków z marginesu społeczeństwa amerykańskiego. Charakterystyczny dla Waitsa wygląd włóczęgi i ten jego chrapliwy, oskrzelowy głos dają z gruntu mylne pojęcie o jego pochodzeniu społecznym. Facet wywodzi się bowiem z klasy średniej i stosownie do tego otrzymał solidne wychowanie. Fascynowali go od młodzieńczych lat pisarze bitnikowscy w rodzaju Kerouaca, Allena Ginsberga czy Williama Burroughsa. Uwielbiał również kryminalną prozę Raymonda Chandlera i Dashiella Hammetta.

Swoją muzyczną przygodę Tom Waits rozpoczął na początku lat 60. W 1964 r. związał się na krótko z rhythm and bluesową grupą *The Systems*. Po ukończeniu szkoły wędrował po kraju. Szukał spotkań z Ameryką, jaką znał z obrazów Edwarda Hoppera. Imał się bardzo różnych zajęć – najdłużej chyba był portierem w nocnym klubie w Los Angeles. W oryginalnych pieśniach, które zaczął pisać w końcu lat 60., a nagrywać w 1973 r., łączył elementy songów Kurta Weilla, ludowych ballad, bluesa, jazzu i rocka. Dobrze radził sobie z grą na gitarze i fortepianie, podpisał też cenny kontrakt z menedżerem Herbem Cohenem, pracującym kiedyś z Timem Buckleyem i Frankiem Zappą. O ile jednak w owej dekadzie starał się pielęgnować na płytach wizerunek lumpa-włóczęgi o wielkiej mądrości życiowej, o tyle już w latach 80. zaczął eksperymentować z innymi, bardziej zróżnicowanymi gatunkami muzyki, m.in. z operami i ścieżkami dźwiękowymi z filmów. Zresztą, równoległe ze swoimi poczynaniami

muzycznymi rozwijał się jako aktor. Zadebiutował w epizodycznej roli w obrazie Sylvestra Stallone *Paradise Alley* w 1978 r. Później wystąpił w *Rumble Fish* oraz *Cotton Club* Francisca Forda Coppoli. Przede wszystkim zaś w filmie Jima Jarmuscha *Poza prawem (Down By Law)*, w którym zagrał jedną z głównych postaci.



Na 60 urodziny Tom Waits sprawił sobie, a głównie nam, słuchaczom, wspaniały prezent. Najnowszy, koncertowy, dwupłytowy album Mistrza oddaje w dużym stopniu atmosferę niezwykłego spektaklu, zmontowanego tak, jakby stanowił zapis jednego show, a nie wielu fragmentów europejsko-amerykańskiego tournée. Wydawnictwo ***Glitter and Doom Live (Sonic Records)*** wypełniają utwory z lat 90., mocno przearanżowane, ale wykonywane tym samym, niepowtarzalnym, sponiewieranym głosem Toma. Mroczne, chociaż czasem i dowcipne opowieści Waits dosłownie wypływa z siebie, charcząc porwane frazy, bombardujące słuchacza niczym śrut. Wokalne wrzaski atakują nas już na otwarciu płyty niesamowitym kawałkiem *Lucinda – Ain't Goin' Down*. Powalają również kolejne: *Such A Scream* i *Goin' Out West*, no i masakrycznie bluesowy *Make It Rain*. Zwracam uwagę, jak artysta demonstruje ostentacyjną łatwość nawiązywania kontaktu z publicznością. Gawędzi z nią w przerwach, opowiada okrutne niekiedy dowcipy, zasypuje błyskotliwymi powiedzonkami. Cały krążek *Tom's Tales*, dołączony do *Glitter and Doom Live*, wypełniają opowieści Waitsa. Zabawa przednia, ale i dopełnienie obrazu twórcy totalnego.

Za fasadą czarnego humoru i nieznośnie szorstkiej wokalistyki w utworach Toma Waitsa kryje się jednak czułe, pełne zrozumienia współczucie dla bliźnich. Artysta ma też świetne wycucie melodii – jego piosenki nagrywały z powodzeniem największe gwiazdy muzyki pop i rocka, by wymienić tylko: *The Eagles*, Bruce'a Springsteena, Paula Younga czy Roda Stewarta. Ktoś gdzieś kiedyś napisał, że ten facet z Kalifornii jest ciągle, a może nawet bardziej niż kiedykolwiek, największym artystą Ameryki. To wielce prawdopodobne...



Jeff Beck

Emotion & Commotion (Warner Music)

Po siedmiu latach milczenia odezwał się jeden z największych wirtuozów gitary. Nikt tak pięknie nie śpiewa na swoim instrumencie, a na nowej płycie tylko potwierdza klasę, inteligentnie krążąc wokół muzyki rockowej, jazzowej, bluesa i klasyki. Towarzyszą mu m.in. rewelacyjna, dysponująca „czarnym” głosem Joss Stone oraz wspaniała operowa diwa Olivia Safe.

Corinne Bailey Rae

The Sea (EMI)

Młoda brytyjska wokalistka na swoim drugim krążku daje prawdziwy popis soulowego śpiewania. Mnóstwo w tym projekcie świetnych melodii i cała masa emocji, przekazywanych w kameralnych, intymnych balladach oraz dynamicznych utworach z pogranicza czarnej muzyki i rocka.



Massive Attack

Heligoland (EMI)

Wydawało się, że legenda „bristolskiego brzmienia” przeszła już na dobre do historii, tymczasem piąty album grupy jest produkcyjnym majstersztykiem, wypełnionym zarówno aranżacyjnymi smaczkami, symfonicznymi i filmowymi klimatami, jak i trip-hopem, mroczną elektroniką oraz post rockiem. Dzieło wybitne i piękne do bólu.

